

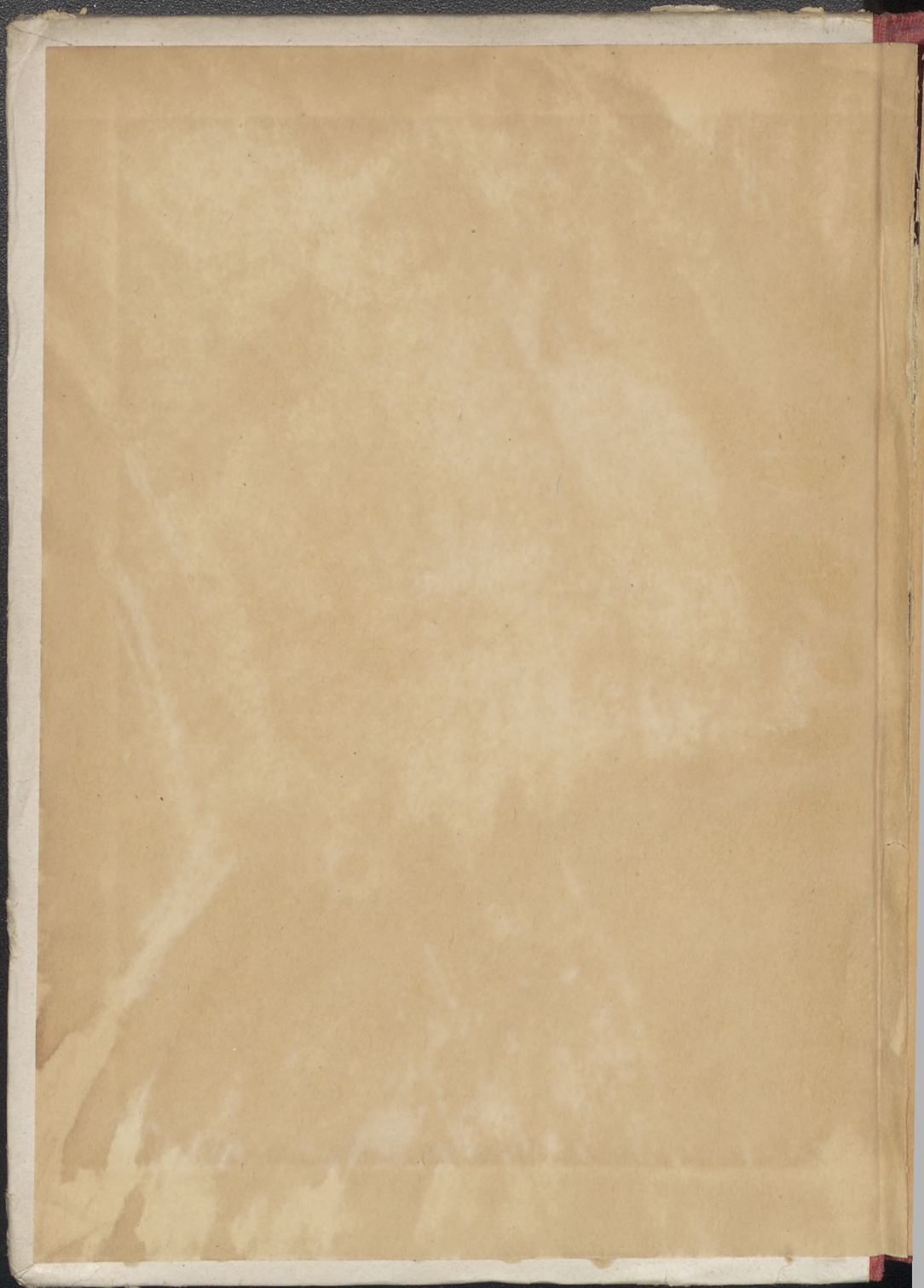
I-602.049

500

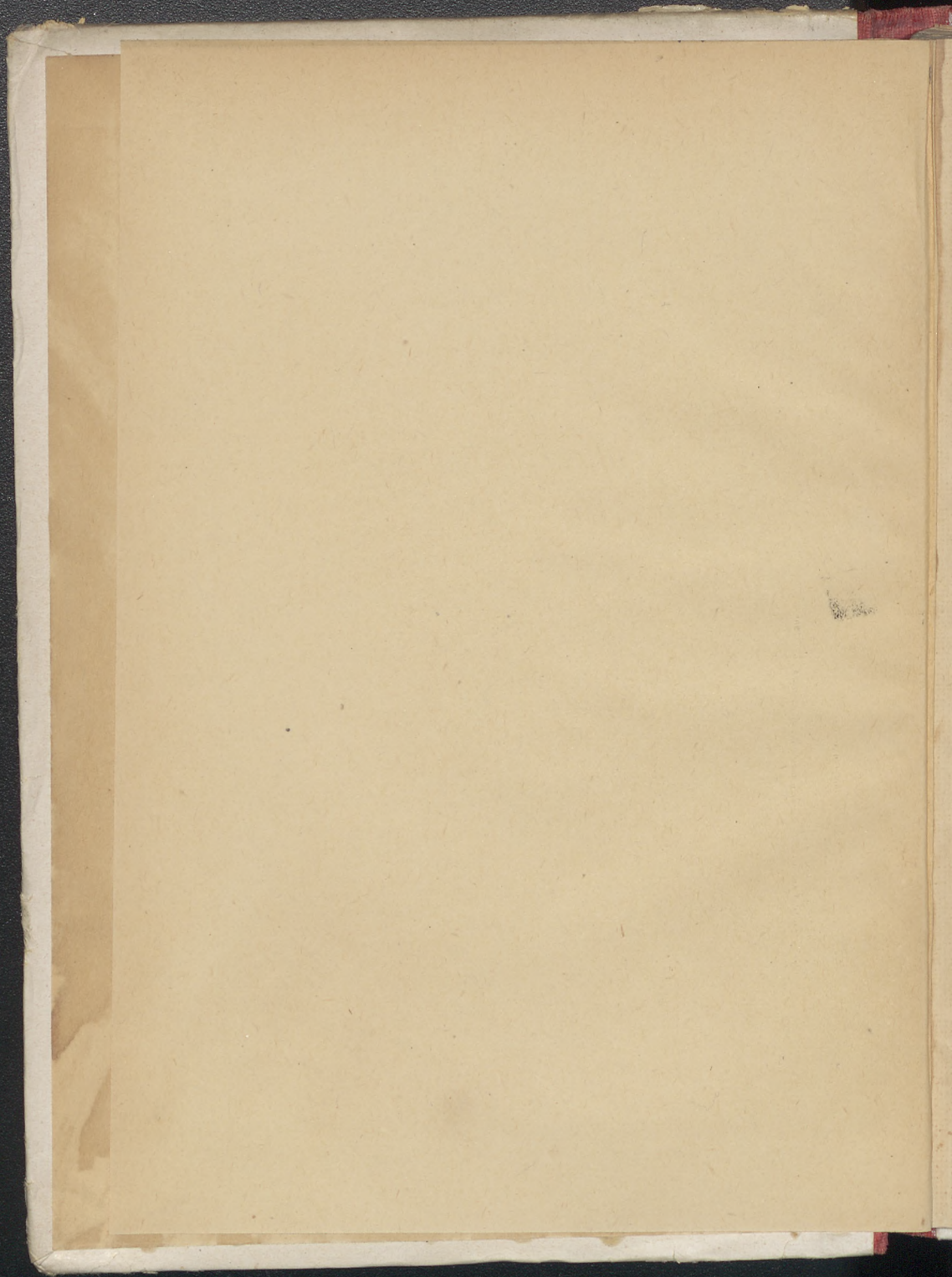
ELWIRA KOROTYŃSKA

WESOLUTKI ŚWIATEK DLA GRZECZNYCH DZIATEK



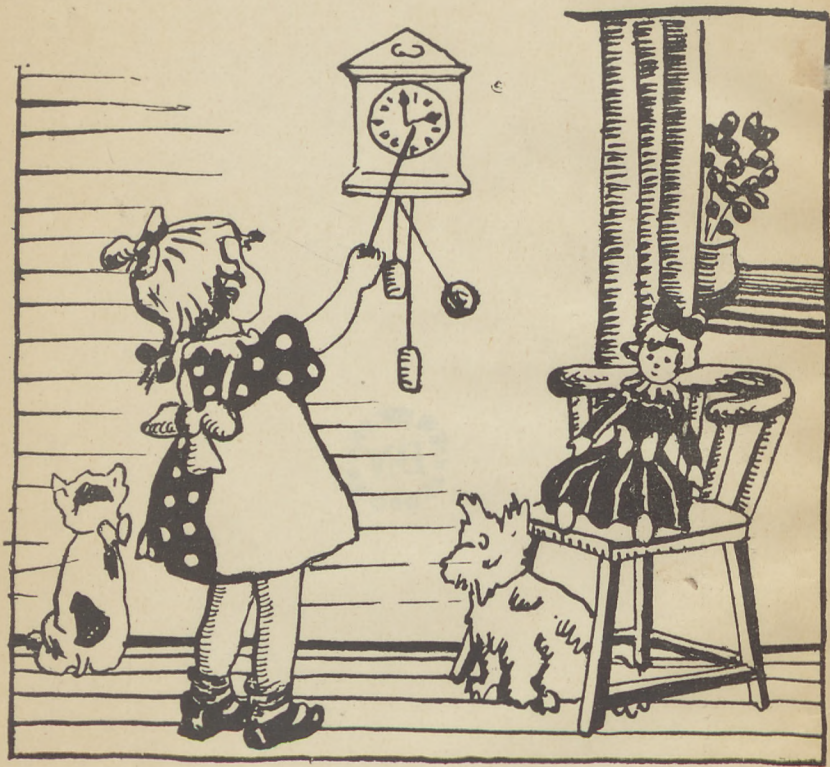


4



NEW YORK
BN
MAR 20 1884

(1)



ELWIRA KOROTYŃSKA

**WESOLUTKI ŚWIATEK
DLA
GRZECZNYCH DZIATEK**

z ilustracjami

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI POPULARNEJ
W WARSZAWIE

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018259801



I-602.049

Odbito z płyt w Zakł. Graf. „FENIKS“, Warszawa.

Z PAMIĘTNIKA LALKI

Jestem tylko lalką, lecz tak dużo przeżyłam, tak wiele doznałam wzruszeń, iż nie jestem w stanie powstrzymać się od opisanja swych przygód na papierze.

Pamięć moja sięga tej chwili, gdy w pracowni ustawiono mnie na stole i głos jakiś zawołał z zachwytem:

— Ach! jaka cudna lalka! Jeszcze takiej nie było! Co za włosy! co za oczy! jakie rumieńce!

Czyjaś ręka zaniósła mnie do pokoju, gdzie siedziały krawcowe

i gdzie stało mnóstwo maszyn do szycia.

Wzięto ze mnie miarę i wkrótce ubrano w prześliczną błękitną sukienkę, cieniutką bieliznę, pończoszki, białe pantofelki a na moje złoto-blond włosy włożono biały beret.

Sama wiedziałam, iż byłam prześliczna, ale, gdy zaczęto wołać ze wszystkich stron, iż tak pięknej lalki jeszcze nie widziano, radość moja nie miała granic. Oglądano mnie, zachwycano się moją pięknnością, poczem nastąpiła smutna bardzo przemiana.

Włożono mnie do kartonowego pudełka, a gdy je zamknięto, czułam się bardzo nieszczęśliwa i

ogarnął mnie smutek, iż nikt nie podziwia i nie widzi mojej piękności.

Wieczorem, tegoż dnia zawieziono mnie w pudełku kawał drogi.

Pudełek takich, jak to, w którym leżałam było bardzo wiele. Leżałyśmy wszystkie w dużej skrzynce, z której nas wyjęto dopiero w jakimś sklepie z zabawkami.

W szafie oszklonej do której mnie umieszczono, znajdowały się przeróżne zabawki, a więc: koniki blaszane, grzechotki, trąbki i różnej wielkości lalki.

Z nich wszystkich byłam największa i najpiękniejsza.

Ekspedjentka, zachwycona

moim wyglądem postawiła mnie w miejscu najbardziej widocznem.

Ach! gdybym mogła, ucałowa-
łabym ją za te pochwały... Lubi-
łam, gdy mnie uwielbiano i na-
zywano najpiękniejszą. Takie są
wogóle kobiety, że lubią poch-
wały.

Umieszczona na froncie, z py-
chą patrzyłam na inne zabawki,
uważając je za ramy dla mej
urody.

Nie było prawie dnia, żeby
ktoś nie zapytywał o cenę, za
jaką możnaby mnie nabyć.

Przychodziły małe dziewczyn-
ki z matkami po inne zabawki,
ale spostrzegłszy mnie, wołały:

— Mamusiu, kup mi tę lalkę,
ona taka śliczna!

Matka pytała o cenę, a że
chciano za mnie aż czterdzieści
złotych, nie była w możności za-
dowolić swej córeczki, której
oczki aż błyszczały chęcią otrzy-
mania takiej ślicznotki.

Ale razu pewnego do sklepu
weszła elegancko ubrana dama,
chcąc kupić na gwiazdkę swej
córeczce jaknajpiękniejszą lalkę.

Była to osoba bardzo bogata
i gdy powiedziano jej, iż wybrana
przez nią lalka kosztuje czter-
dzieści złotych, bez targu zapła-
ciła żadaną sumę i kazała mnie
zapakować.

Czułam się bardzo szczęśliwa,

iż wybrana zostałam przez tak wielką damę. Jednocześnie cieszyłam się, iż wyjmą mnie z pudełka i dadzą dziewczynce, która kochać mnie będzie i dogadzać. Pewnie i łóżeczko mieć będę.

Jechałyśmy dość długo, poczem szłyśmy po schodach, aż znalazłyśmy się nareszcie w pokoju, gdzie stały szafy.

Sądziłam, że otworzą pudełko i wyjrzę na świat, ale okazało się, iż jeszcze nie koniec mojej udreki; czekać miałam jeszcze czas dłuższy.

Przykrzyło mi się bardzo leżeć w ciemnościach, ale cóż miałam począć? Musiałam być cierpliwą.

Słyszałam głosy jakieś, bieganie i nic więcej.

Gdy przyszło moje wybawienie, chciałam skakać z radości i krzyczeć, ale nie mogłam. Mówić umiałam tylko: mama! papa! i to, jeśli mnie naciśnięto.

Ten sam miły głos, który zapytywał w sklepie, ile kosztuję, odezwał się do małej, biało ubranej dziewczynki w te słowa:

— Masz, Lolu, to dla ciebie na gwiazdkę, napewno będziesz z tej lalki zadowolona.

Mówiąc to podała pudełko córeczce, której byłam bardzo ciekawa.

Dziewczynka nazwana Lolą rozwiązała sznurek i, zdjęwszy

pokrywkę pudełka, wyjęła mnie z okrzykiem radości. Rączki Loli trzymały mnie z całej siły, śliczne jej oczki promieniały zachwytem, a różowe usteczka szczebiotały, jak ptaszyna: — Ach! jaka cudna lalka! Takiej lalki nigdy jeszcze nie widziałam! Dziękuję mamusi, bardzo dziękuję! Nazwę ją Pięknoką! Zachwycająca, prześliczna Pięknoką!

I miłe dziewczątko całować mnie i tulić do siebie zaczęło.

Wiedziałam, iż moja mała właścicielka zachwyci się mną odrazu. Ale co do mnie, to patrzałam z przyjemnością na Lolę i rozkochana w niej byłam od pierwszego wejrzenia.

Dziewczynka była bardzo ładna. Miała tak jak i ja śliczne złote włoski i oczki jak błękit nieba. A, że była dobra poznałam zaraz z jej troskliwości o moje wygody.

Zaniosła mnie zaraz do swego pokoju, gdzie pośrodku stała prześliczna choinka. Była ona ustrojona rozmaitemi błyskotkami, cukierkami, gwiazdkami i zabawkami. Obsypana sztucznym śniegiem wyglądała jak w srebrnej szacie królowa.

Lola jednak nie zwracała na nią uwagi, pierwsza byłam dla niej, co mnie niewymownie cieszyło.

Zdjęła z mej główki kapelusz, potem rozebrała mnie z żakiecika, posadziła na przygotowanym dla

mnie krzeselku i przysunęła stolik, na którym stały różne przysmaki z cukru.

My, lalki, nie jadamy niczego, ale było mi bardzo przyjemnie, iż dbano o moje wygody. Koło stolika siedziało wiele innych lalek, ale w porównaniu ze mną wyglądały bardzo marnie. Zdawałam się być ich królową a one memi poddankami. Patrzałam też na nie wszystkie zgóry.

Za naszym pokojem, w stołowym słyhać było głosy gości i śmiechy.

Był to dzień Bożego Narodzenia, święto radosne, mnie też było w duszy wesoło i jeślibym umiała, wyczałowałabym moją śliczną właścicielkę, tembardziej, iż nachylała

się wciąż ku mnie i przemawiała
pieszczotliwemi wyrazami.

Od czasu do czasu zjawiała
się we drzwiach pokoju niania w
dużym białym czepcu, i wtedy to
Lola zwracała się ku niej, mówiąc:

— Ach, miła nianiusiu, mam
nakoniec to, czego tak bardzo
pragnęłam! Spójrz, jaka ona prze-
śliczna! Nazwałam ją Pięknotką...
Prawda nianiu, że na całym świe-
cie, niema tak pięknej, jak moja,
lalki?

Podczas tej rozmowy z nianią
drzwi się otwarły i ukazała się
pokojówka z wyrazem wielkiego
smutku na twarzy.

— Nianiu, ach! nianiu, — odez-
wała się ona, — proszę przyjść



na chwileczkę do kuchni: To okropne!

Niania wyszła, a Lola stała niezdecydowana, co robić. Wreszcie wzięła mnie na rękę i poszła do kuchni, aby zobaczyć w jakim celu wezwali nianię.

W kuchni gwar był i zamieszanie. Pośrodku stała bardzo uboga odziana kobieta i gorzko płakała, niania zaś i służba ze współczuciem kiwała głowami.

Niemłoda kobieta opowiadała, przerywając mowę płaczem:

— Poszedł z samego rana, myślałyśmy, że na nabożeństwo... Tymczasem kościół dawno zamknęli, ludzie wrócili do domów, a jego jeszcze nie było. Co tu robić i co o tem myśleć?

— Zmartwione siedzimy nie myśląc o świecie. Gdy naraz już po południu, stuka ktoś do drzwi. Otwieramy... o, Boże! Niosą go całego we krwi, z zamkniętymi oczyma...

— Pijany szedł przez jezdnię, powóz najechał go, rozbił mu głowę, połamał żebra i ot leży bez czucia, bez jęku....

I biedna kobieta znów szlochać zaczęła z rozpacz.

— I co my z nim zrobimy? — mówiła — dokąd go zawieziemy? Chyba do szpitala, o Boże mój!...

— Biedna ty, nieszczęśliwa! Poczekaj! Pójdziemy do pani, ona dobra i miłosierna. Poradzi na to, pomoże...

Niania i pokojówka poszły z

ubogą kobietą do swej pani, a Lola wraz ze mną pozostała w kuchni.

Naraz spostrzegłyśmy stojącą w drzwiach kuchni jakąś biedną dziewczynkę, która paluszek trzymając w ustach, ciekawie rozglądała się naokoło.

Lola podeszła do niej pytając: — Kim jesteś dziewczynko i czego tu przyszłaś?

Dziewczynka milczała, nie odpowiadając na zadane pytanie.

Wtedy Lola spytała:

— Czy to twego tatę zdeptały konie kopytami?

Dziewczynka, zamiast odpowiedzi, gorzko płakać zaczęła, przyczem drżała całym swem

chudem ciałkiem, wykrzykując od czasu do czasu:

— Ach, Boże mój! Ach, Boże mój!

Nie podobała mi się ta cała scena.

Przywykłam już tu do radosnych słów i pieszczot Loli, choć krótko tak żyłam na świecie.

A tu naraz łyzy nieznajomej dziewczynki, a Lola taka jakaś smutna, zmartwiona i patrzy na mnie jakoś dziwnie i jakby o coś pytała.

— Dziewczynko, dziewczynko — odezwała się wreszcie Lola, — tak mi ciebie żal, miła moja... Aż mi się chce płakać! Wszystko gotowam zrobić dla ciebie i oddać, żebyś tylko płakać przestała.

Oddam ci to, co mam najlepszego. Czy chcesz?

I Lola raptem spojrzała na mnie. Twarzyczka jej zbladła, usteczka zadrżały a rączka wyciągnęła się ku dziewczynce, oddając mnie w jej posiadanie.

Ośłupiałam! Ach, jeślibym była człowiekiem, napewno wpadłabym w omdlenie.

Ale cóż? byłam tylko lalką i zmuszona byłam wszystko znosić i na wszystko milczeć.

Brudne, obce mi ręce złapały mnie z rąk Loli i przytuliły do brudnej sukienki, poczem, nakrywszy mnie chustką popędziła moja nowa właścicielka na ulicę, jakby bojąc się, żeby jej nie odebrano tego skarbu.

A Lola? milutka, dobra Lola? Czyżby mnie tak mało lubiła? Czyż nie mówiła słów czułych i kochających? czyż nie całowała mnie serdecznie?

Nie, stanowczo nie! Ona mnie kochała prawdziwie, ale tu zdarzyło się coś silniejszego niż miłość ku mnie!

Takie myśli pełne goryczy snuły się po mej lalczynej głowie, podczas tego, gdy moja nowa właścicielka biegła ze mną przez śnieg i błoto.

Wszedłszy przez małe drzwi-
czki do wilgotnej izby, posadziła
mnie w kącie na podłodze, uklę-
kła przedemną i zaczęła całować.

Chociaż było zupełnie ciemno,
widziałam jednak, iż oczy dziew-

czynki błyszcząły radością bez granic.

— Franiu! Franiu! — zawołał głos kobiety, — Gdzie babka? Dokąd ona poszła?

— Do państwa na posługi.

— A ty dlaczegoś sama wróciła?

Ach! Boże mój! co teraz z nami będzie?

Co on nam narobił! — płakała kobieta.

Płaczom jej odpowiadały głuche jęki leżącego w drugim końcu izby człowieka.

Tak mi tu było smutno, straszno, że wypowiedzieć tego nie mogę.

A i izba była ponura i bru-

dna, ani porównania ze ślicznem mieszkaniem Loli.

Wtem rozległy się czyjeś kroki. Drzwi skrzypnęły, weszła babka dziewczynki, a za nią jakiś porządnie ubrany mężczyzna w złotych okularach.

Podszedł on do płaczącej kobiety i powiedział:

— Jestem doktorem. Przyszedłem z polecenia pani Lewickiej. W czym mogę państwu pomóc?

Wkrótce potem zrobił się zamęt, hałas nie do opisania.

Wszyscy otoczyli jęczącego człowieka, posyłano do apteki, spełniono rozkazy lekarza.

Przyszli potem jacyś ludzie i zanieśli na noszach, pewnie do

szpitala jęczącego i ledwie dyszącego ojca Frani.

Płakała dziewczynka, płakała jej matka i babcia, ja również żałowałam tych nieszczęśliwych.

Chciałabym czemkolwiek Franę pocieszyć, ale nie umiałam. Byłam tylko lalką!

Kiedy już ucichło, wszyscy płakać przestali, nachyliła się ku mnie dziewczynka i ocierając z łez oczy, szeptała:

— Miła moja królewno, przygotuję tobie posłanie. Czas spać, już wieczór.

I zaczęła urządzać z łachmanów pościel, starając się mi dogodzić!

Widząc to przypomniałam sobie moje śliczne łóżeczko u Loli i

zrobiło mi się smętno i przykro.
Ale cóż na to poradzić?

Zresztą miło jest kogoś pocieszać, a dla biednej dziewczynki byłam wielką radością.

Frانيا wzięła mnie na ręce i zaczęła rozbierać do snu bardzo niezręcznie. Zdjęła mą śliczną niebieską sukienkę i nie przestawała ani na chwilę do mnie mówić.

— Franiu, z kim rozmawiasz? — rozległ się głos matki, która zapalała małą naftową lampeczkę, jedyne oświetlenie mrocznej izby.

Pytanie to zadane w ciszy tak przestraszyło dziewczynkę, iż wypuściła z rąk lalkę.

Ach! ach! — wykrzyknęła z przerażenia, sądząc, iż mnie rozbiła.

Do ciemnego kąta, w którym leżałam przybiegły obie kobiety, złapały mnie i podeszły do lampy.

Były bardzo wzburzone i zaniepokojone. Patrzyły na siebie z przestraczem.

— Niegodziwe dziecko! ściągnęłaś lalkę z domu naszej dobrodziejki. Czekał, damy ci za to!

Głowa mnie zaczęła boleć z tych ciągłych zmian i wzruszeń. Biedna Frania płakała, stojąc w kąciuku, niesłusznie posądzona o wzięcie nieswojej rzeczy.

Jakżeż pragnęłam ją pocieszyć i powiedzieć tym kobietom, iż jest niewinna.

Jakto źle być lalką bez mowy, jakże żałowałam, iż obronić jej nie byłam w stanie.

Tymczasem babka Frani wzięła mnie pod chustkę i wyszła.

— Przepróż babko! — wołała jeszcze do wychodzącej matka Frani, — powiedz pani, żeby się nie gniewała i że ukarzę za to, że wzięła lalkę, tę niežnośną nie-dobłą dziewczynę!

Nieśli mnie znów, ale dokąd? tego nie wiedziałam. Czyżby do Loli?

Myślałam sobie, dlaczego posądzają tę biedną Franię o kradzież i odbierają jej jedyną radość? — Czemu jednym tak dobrze na świecie, a drudzy tak są ubodzy?

Przyznam się, iż tak mi było żal Frani, iż nawet widok pięk-

nego mieszkania i pokoiku Loli nazbyt mnie nie ucieszył.

Tymczasem babka wyjęła mnie z pod chustki i podając niani mówiła z oburzeniem:

— Widzi niania, co ta nasza Frania zrobiła? Lalkę zabrała panience!

Niania wzięła mnie i poszła do pokoju, do swej pani.

W kilka minut potem znalazłam się w pokoiku Loli, gdzie stali rodzice mej właścicielki i niania.

Wszyscy byli oburzeni.

Jedna tylko Lola, swym miłym słodkim głosikiem starała się ich uspokoić, mówiąc:

— Ależ nianiu, ja naprawdę sama oddałam lalkę tej biednej

dziewczynce. Ona była bardzo nieszczęśliwa i płakała.

— No dobrze, dobrze,— mówiła mama Loli, chcąc zakończyć tę sprawę, tak bardzo denerwującą jej córeczkę.

— Pora spać, moja Lolu, pocałuj mnie i zapomnij o tem wszystkim.

A Frani damy coś innego, odpowiedniego do jej stanu. Takie lalki nie dla biedaków.

Wyszli, zostałyśmy same z Lolą. Przytuliła mnie do siebie i śmiała się i płakała z radości, że znów jesteśmy razem.

— Ach, ty moja Pięknotko, — szeptała — co o mnie myślałaś, gdy cię oddałam? Pewnie sądzi-

łaś, że cię nie kocham? Coś ty się biedaczko nacierpiała! Okropność!

I rozbierała mnie swemi delikatnemi i zręcznemi rączkami, mówiąc wciąż do mnie i całując moje złote loki.

— Czy śpisz laleczko? — czy mnie kochasz? — spytała nachylona nademną.

Nie spałam, ale oczy miałam zamknięte. Myślałam wciąż o tem jak innem życiem niż ta biedna Frania, żyje szczęśliwa Lola.

— Lolu! — zawołała niania — kładź się już spać, dość tych pieścizot z lalką!

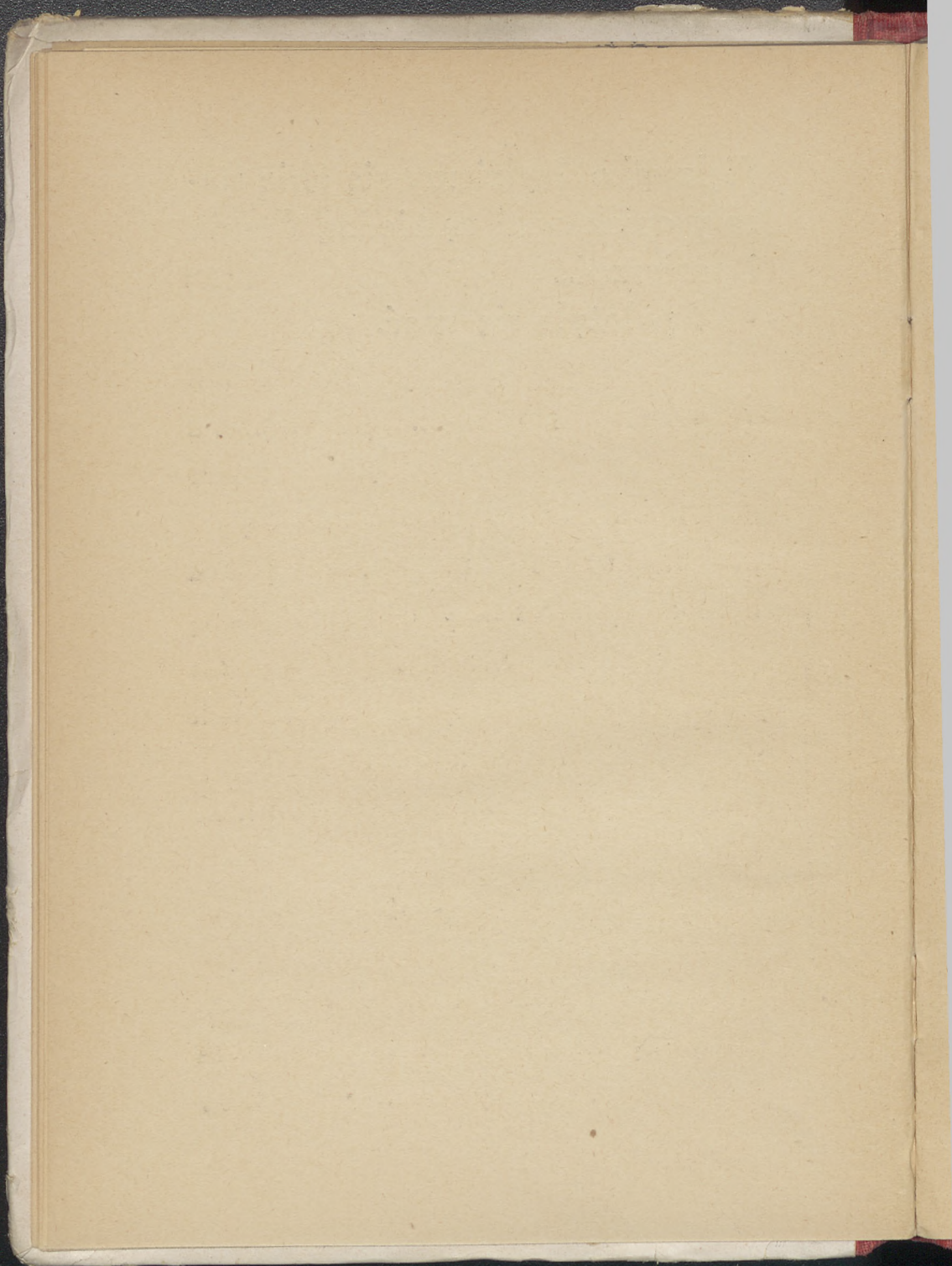
Lola schyliła się nademną i ucałowawszy mnie raz jeszcze na dobranoc, rzekła cichutko: Wiesz,



№ 115
DN
ARODOWA

Pięknotko, będziemy się obie starały opiekować tą biedną Franią i pocieszać...

I położyła się spać.



WYPRAWA PO GRZYBY.

Państwo Sypniewscy mieli czworo miłych i dobrych dzieci.

Zosia, Hela i dwaj braciszkanie: Zygmus i Jurek, od dziecka mieszkali w mieście i nie mieli pojęcia o lesie i o tem, jak rosną grzyby, jak się je zbiera i które z nich są jadalne a które trujące.

I, jeśliby ktoś żartem powiedział, iż rosną one na krzaku lub na drzewie, uwierzyłyby temu napewno i dziewczynki, i chłopcy.

Razu pewnego obiecali im rodzice, iż latem pojedą na wieś. Ach! cóżto była za radość! A najbardziej cieszone się z tego, iż będzie się zbierało grzyby. Dużo

ich jest w lesie, uzbierają więc całe kosze i ususzą na zimę. Dozekać się lata nie mogły.

Przyszło lato, piękne słoneczne, zazieleniły się ogrody i parki, zapachniały choiny i świerki w lesie.

Jechały dzieci rozradowane, szczęśliwe, jedną tylko myślą przejęte, iż wyprawią się do lasu na grzyby i przez kilka godzin zbierać je będą.

W końcu czerwca stara piasunka, która czuwała nad kochaną czwórką oznajmiła wieść bardzo radosną, iż w lesie ukazały się grzyby.

Tejże chwili porzuciły dzieci swe zajęcia: rysunki, książki, zabawki — w kąć poszły.

Gwar, nawoływania, nieopisany hałas, zaległy dziecięcy pokój. Zjawiała się i matka, pytając, co się stało?

— Grzyby! grzyby są w lesie! — wołała Zosia, — Niania nam to oznajmiła. Mamusiu, jakto świetnie!

— Mamusiu, czy jutro rano pójdziemy? spytał Zygmus, niecierpliwie oczekując odpowiedzi.

— Naturalnie. iż pójdziemy! — uprzedził matkę najstarszy Jurek — nie będziemy się przecież wybierać przez cały tydzień!

Jurek był zupełnem przeciwieństwem Zygmuś. O ile młodszy braciszek lubił, aby wszystkie jego zamiary spełniane były z wiedzą i pozwoleniem rodziców

lub starszych, o tyle Jurek lubił być samodzielnym i nie czekać na decyzję dorosłych.

— Czy pójdziemy sami? — spytała Helenka.

— Naturalnie! — odpowiedział Jurek, — kto idzie do lasu po grzyby, niepotrzebna piastunka.

— Mamusiu, czy będziemy mogli iść sami do lasu? — spytał Zygmus

— Możecie, — odpowiedziała matka — nie zagłębiajcie się tylko daleko, żebyście nie zabłądzili.

— Ależ, mamu! nie pojmuję jak można zabłądzić! Nie jesteśmy już niemowlętami i w największym nawet lesie nie zbłądzimy napewno — rzekł Jurek.

— Nie rozumiem, jak można zmylić drogę, — odezwała się Helenka. — Las jest na południe; aby dojść do domu z powrotem, trzeba iść w północnym kierunku i wszystko będzie dobrze.

— A jeśli dzień będzie pochmurny, w jaki sposób rozpoznasz południe i północ? — odparł Zygmund!

— Jak?... Ależ jutro będzie piękna pogoda!

— I w pochmurny dzień można rozpoznać gdzie północ i gdzie południe. Nie zmylimy drogi na pewno.

Las, do którego się dzieci tak wybierały, oddalony był od ich domu o pół wiorsty, a długości miał od pięciu do sześciu wiorst. Trud-

no więc było zabłądzić, ale trzeba wziąć pod uwagę, iż dzieci nie miały pojęcia o lesie, mogło się więc było zdarzyć coś nieoczekiwanego przy najlepszej nawet znajomości stron świata. Przytem prawie zawsze, pierwsza wyprawa jest nieudana. Zobaczymy, jak będzie.

Pierwszą sprawą, która wywołała niezgodę między dziećmi była potrzeba zabrania ze sobą koszyka do mających się zbierać grzybów.

Zwrócono się do starej piasunki, z prośbą o dostarczenie tego koniecznego przedmiotu.

— A gdzież ja te kosze znajdę? Skąd tak zaraz je wezmę — gderała staruszka z dziwnym spokojem, bez pośpiechu.

Trzeba było je przywieźć ze sobą, a teraz skąd brać będę?...

— Ależ nie możemy tak iść z pustymi rękami po grzyby! — uniosła się Zosia. —

— Trzeba je znaleźć koniecznie!

— Poszukam... — spokojnie odpowiedziała piastunka, — jeśli znajde, przyniosę — dodała wychodząc z pokoju.

— Niedobra! — szeptem wymówiła Zosia.

— Nieużyta stara!...

— Znajdzie napewno! — zapewnił Jurek, —

Wybierajcie się prędzej! Im wcześniej tem lepiej!

Dzieci zaczęły się ubierać w leciutkie sukienki i garniturki noszone w mieście, gdy wychodzi-

ły do kościoła lub na spacer, Helenka zabrała nawet parasolkę.

— Zostaw parasolkę! — poradził jej Zygmus —

Do czego ci ona potrzebna?

— Ani myślę! — odpowiedziała dziewczynka, — może być deszcz, a i słońce dokuczy.

— Jak uważasz, zgodził się Zygmus.

Wkrótce przyszła niania dźwigając ogromną, na półtora ćwierci kartofli, kobiałkę.

— Macie dzieci, — rzekła — innej niema.

— To dla mnie! — zawołała Zasia, — chwytając kobiałkę.

— Nie! to będzie dla mnie! — zaprzeczyła Helenka. — Patrzcie aka mądra, wszystko dla niej!

— Nie sprzeczaście się, — wtrąciła się staruszka — niema o co się kłócić, wystarczy jedna kobiałka dla wszystkich.

— Ależ! — zaprzeczył Jurek, — cóżto? z każdym grzybem iść mamy do Zosi? Ani mi to w głowie... Przynieś dla każdego zosobna,

Niania przyniosła trzy takiejże wielkości koszyki i chytrze uśmiechając się podała dzieciom:

— No, chodźmy! — zawołała Zosia — jesteśmy już gotowi.

— Idźmy! idźmy! — przywtórzili Jurek i Hela.

— Mamusiu, czy możemy już iść? — spytał Zygmus.

— Idźcie z Bogiem dzieci, ale nie dokuczajcie, nie sprzeczaście się, bądźcie grzeczne.

Wyszły dzieci z domu, pędem biegnąc do lasu.

I oto ukazał się przed zachwyconemi oczami dzieci cichy, tajemniczy, zielony las, pełen śpiewającego ptactwa, zwierząt, owadów i roślin. Jakżeż było tam pięknie;

Dzieci szły milczące i zadumane, dźwigając ogromne kobiałki z ręki na rękę przekładając ten zbyteczny ciężar.

— Jednak te koszyki, — zauważył Zygmus, — nie tylko są za wielkie, lecz i za ciężkie.

— Mój koszyk wcale nie za ciężki, — powiedział Jurek, — przenosząc koszyk z jednej ręki na drugą.

Wszedłszy w środek lasu, za-

stanawiać się poczęto nad tem, czy mają iść razem, czy oddzielnie i postanowiono trzymać się blisko siebie i od czasu do czasu hukaniem dawać znać o sobie.

Szły dzieci, jakieś dziwnie przejęte powagą lasu i chwilami zadumane zapominały, iż przyszły w celu zbierania grzybów. Przypominały im tylko od czasu do czasu dźwigane kosze, od których drętwiały im ręce

W pewnej chwili rozległo się wołanie Helenki:— Grzyb! mam grzyb.

Rzuciły się dzieci ku niej, zazdroszcząc jej szczęścia. Ale w ślad za tym radosnym okrzykiem, rozległ się głos pełen bólu i strachu.

Przybiegłszy do niej ujrzały Helenkę, w jednej ręce trzymają-

cą ogromnego muchara, podczas gdy z drugiej sączyła się krew.

— Co ci się stało? czego płaczesz? — wołała Zosia.

— Żmija... żmija ugryzła... och! ach!

— A czyś ją widziała? — pytał Jurek.

— Nie, nie widziałam, ale wiem, że to ona...

— Co począć? — pytał blizki już też Zygmus.

— Nie bójcie się, to nie żmija, — uspokajał Jurek, — żmija wpuszcza jad, nie gryzie...

— Gdzież ona ciebie ugryzła? — pytała Zosia, — przestań już płakać!

— Tutaj pod tym krzakiem... — odpowiedziała łkając Helenka, —

brałam grzyb, a ona mnie złapała za rękę!

Zajrzała Zosia z Jurkiem pod krzak i żmiji nie było, ale zato igły jałowca były bardzo ostre i mogły zranić do krwi rękę dziewczynki. Postanowiły dzieci przezyć okaleczone rączki, i zawiązać chusteczką od nosa. I po znalezieniu źródła, to uczyniły.

Przed wyszukaniem jednak wody zostawiono pod krzakiem kobiałki, mając zamiar wrócić po nie wkrótce i zabrać.

Żałowała bardzo Helenka zostawionego w kobiałce grzyba, nie wierząc, iż był trujący.

— Nazywacie mój grzyb niejadalnym, dlatego, żeście go sami

nie znaleźli, — bronila muchara Helusia.

Szły dzieci dalej, przedzierając się przez ostre krzewy i za rośla. Sukienki dziewczynek i ubranka chłopców w wielu miejscach były podarte, ręce od kółców podrapane, a zmęczenie i głód dawały się we znaki. Ale nikt do tego przez czas jakiś nie chciał się przyznać.

Grzybów nigdzie nie było, postanowiono zabrać koszyki i wracać do domu.

Zawrócono z powrotem, ale o znalezieniu kobiałek nie można było marzyć, postanowiły więc dzieci bez nich iść do domu, niemając sił do szukania niczego po lesie.

Nowy zawód! Zdawało się, iż to łatwo znaleźć drogę do domu, tymczasem okazało się, iż jest inaczej.

— Zabłądziliśmy, — pierwszy odezwał się Jurek, — teraz nie wiem doprawdy, jak iść, w którą kierować się stronę.

— Dlaczegoż więc chciałeś kierować całą wyprawą i obiecałeś nas doprowadzić do domu? — pytała się oburzona i przerażona Zosia. — Nie trzeba obiecywać, nie znając drogi.

— Jeść mi się chce, głodna jestem! — pierwsza przyznała się do tego Helenka.

— Ja także jestem bardzo zmęczony i głodny, — potwierdził Zygmus.

— Cicho, cicho, wyrzekanie nic nie pomoże, chodźmy do domu. Iść będziemy w przeciwną stronę i dojdziemy, — uspokajał Jurek.

Ale powiedzieć łatwo, a wykonać trudno, zwłaszcza, gdy się jest w lesie poraz pierwszy.

Wszystkie ścieżki były jednakowe, a że było ich kilka, niewiadomo, która prowadzić miała do domu.

Co weszli na którą dróżynę wracali, nie widząc jej końca i nie mogąc dotrzeć do wsi, do której dążyli.

Jak żałowały dzieci, iż nie znając lasu wybrały się do niego same, wskazywały ich smutne twarzyczki i głębokie zaniepokojenie.

Nietylko bowiem głód i zmę-

czenie dokuczały biednym dzieciakom, bały się też i matki, która, choć była samą dobrocią, mogła się słusznie pogniewać za podarte ubranie i pozostawione w lesie kobiałki.

Szły więc dziewczynki, szli chłopcy ze spuszczonei głowami, jak winowajcy, nie wiedząc jak dotrzeć do domu.

Po godzinnem błędzeniu, ujrzały dzieci brzeg lasu i wkrótce weszły na pole.

Uzbroiwszy się w męstwo, szła nasza czwórka ku domowi, z jednej strony szczęśliwa, że znalazła drogę do najmilszej swojej siedziby, z drugiej strony niespokojna, co powie matka i zawsty-

dzona nieudaną wyprawą po grzyby.

Podchodząc do domu spotkały dzieci matkę, która, wyszedłszy na spotkanie, uśmiechnęła się jakoś dziwnie, patrząc na swe zawiedzione pociechy.

— Zmęczeni jesteście? — pytała zwykłym spokojnym tonem. — I wygłodziliście się? Prawda?

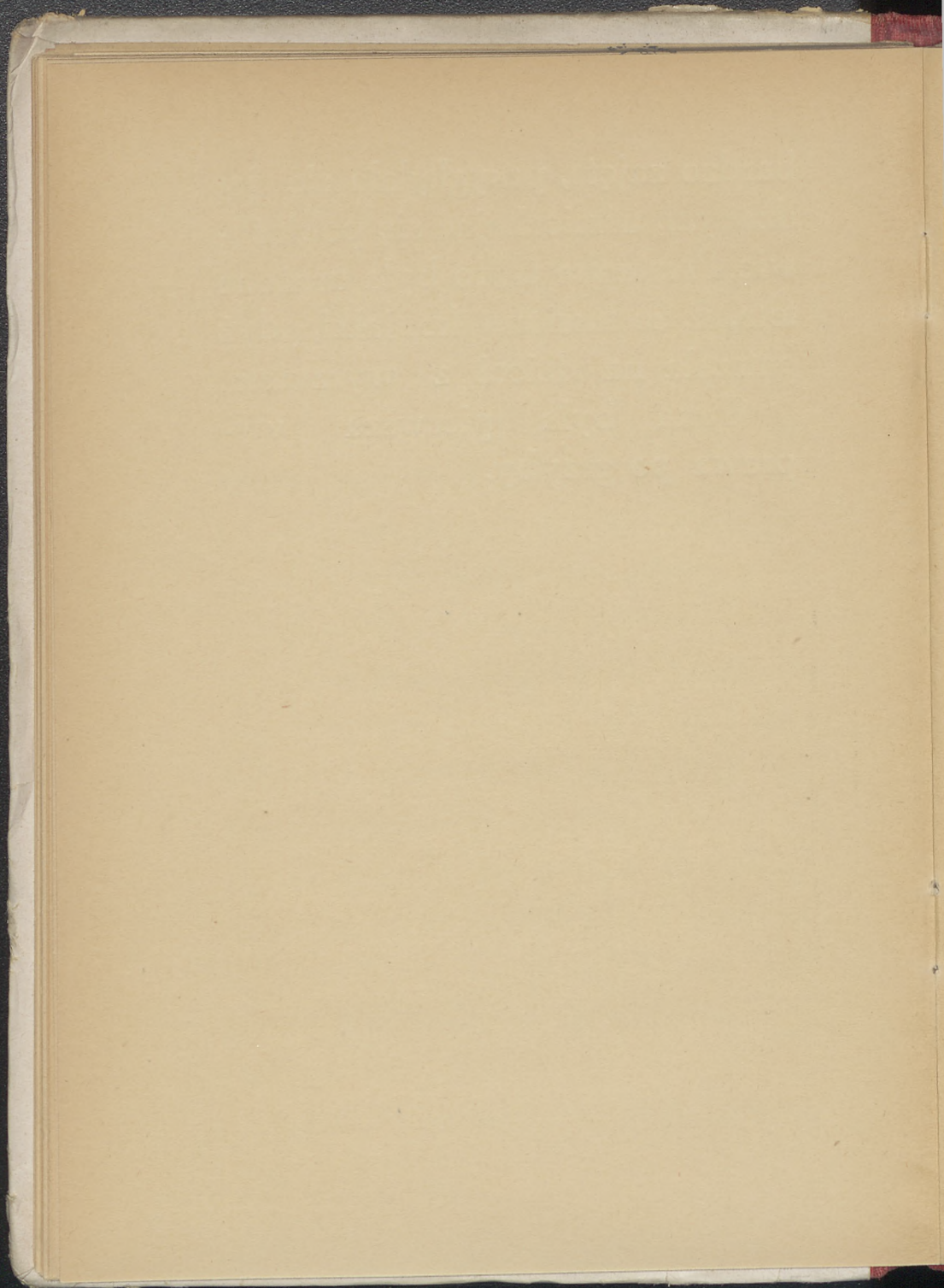
Żadne z dzieci, nawet Zygmus, nie odpowiadało na to pytanie. Głowy wszystkich opuściły się jeszcze niżej ze wstydu.

W kwadrans potem siedziały uż przebrane za stołem i z niebywałym do tej pory apetytem zjadały zupę, która smakowała im jnadzwyczajnie.

Matka, udając, iż jest czemś

bardzo zajęta, przyglądała się je-
dzącym, uśmiechając się pobłaźli-
wie. Piastunka tylko była urażona
tem, iż zostawiono kobiałki, gdyż
patrzała na dzieci z wyrzutem.

Taka była pierwsza wy-
prawa po grzyby.



PIOTRUŚ PASTUSZEK.

Była na wsi, na Ukrainie, biedna wdowa komornica, to znaczy kobieta, odnajmująca od gospodarza chłopa komorę, czyli mały kącik przylegający do izby.

Miała ona jedynego syna Piotrusia, chłopca lat siedmiu, który był jej prawdziwą radością i nadzieją, a i pomocą jednocześnie

Matka Piotrusia była słabowita, bardziej jeszcze osłabła po śmierci męża, zmuszona ciężko pracować na życie i jakąkolwiek odzież dla siebie i dziecka.

Gdy szła do dworu na zaro-

dek, w domu zostawał Piotruś, zajmując się małym ich gospodarstwem. Niewiele wprawdzie mógł zrobić, ale w każdym razie matka, gdy powracała zastawała izbę zamiecioną, kury nakarmione i obrane kartofle.

Razu pewnego biedna kobieta zachorowała ciężko i pomimo lekarstw ze dworu i opieki, życie skończyła.

Piotruś został sierotą. Biedny mały długo i gorzko płakał i nie wiedział co z sobą począć.

Ludzie ze wsi zajęli się pogrzebem, poczem jedna z gospodyń zabrała do siebie Piotrusia, aby pasał krowy i owce. Codzień rano szedł Piotruś w pole z kawałkiem razowego chleba, który miał mu

starczyć na dzień cały, obierał
najlepsze miejsce, gdzie rosła naj-
obfitsza trawa, siadał niedaleko
łąki i czuwając nad swą trzódką,
grywał na zrobionej przez siebie
fujarce.

Wesoło mu było latem. Ptasz-
ki śpiewały, słońko świeciło. Ta-
kie miłe owieczki i krówki. Znają
go one, z każdą rozmawiał, każ-
dą pieścił i lubił.

A jak cudnie było na świecie.
Zieleń wkoło, cała łąka kwieciami
pokryta—tu rumianek biały, tam
mak szkarłatny, to znów niebieski
chaber.

W południe szedł Piotruś na-
poić swe krówki i owieczki. Sia-
dał nad przepływającą rzeczką i

przyglądał kąpiącym się w wodzie zwierzątkom

A gdy wietrzyk zawiał, poruszyły się łodygi kwiatów, zaszeleściły liście drzew i krzaków, rozrzewniał się Piotruś, brał fujarkę do ręki i grać począł. Zdawało się chłopcu, że słuchają jego muzyki ptaki, rośliny i nawet u stóp jego szemrząca woda.

Ale, gdy jesień nastanie, smutno Piotrusiowi i tęskno. Wicher wyje, deszcz pada, niebo chmurami okryte, jak może mu być wesoło?

Zimą jeszcze gorzej, Piotrusia nie lubił nikt, gdyż był zawsze zadumany i milczący, nie biegał z dziećmi, nie dokazywał, nie zrzucał gniazd wronich z drzewa. Żal mu

było piskląt, a rodzice latają i kraczą żałośnie.

Nie rozumieli go zupełnie, nazywali warjatem, dlatego, że miał litośne i szlachetne serce i nie skrzywdził najmniejszego stworzenia.

Przytem w zimie było bardzo mroźno, zaspy śnieżne nie pozwalały mu pójść gdzieś w las, siedzieć na pniu drzewa i grać na fujarce. Więc siedział Piotruś i tęsknił.

Nadeszła wiosna z całym swym urokiem. Zakwitły wierzby, porosły trawą łąki. Piotruś ożył.

Kręcił fujarki z wierzby i grał, pilnując jednocześnie swego stadka

Razu pewnego siedział i wy-

grywał corazto inne piosenki, nie zwracając uwagi na to, co się wokoło niego działo.

A właśnie zjechał dziedzic tej wioski przypadkiem.

Nie zatrzymywał się tam nigdy, ale zepsuło się coś u samochodu i zmuszony był czekać na reparację.

Zanim przyjechał mechanik i reperować począł, dziedzic obchodził chaty, rozmawiał z gospodarzami i ich dziećmi, słuchał ich skarg, radził i tak mu czas schodził prędzej.

Powybiegały dzieciaki z izb, przyglądały się strojnemu panu i jego pojazdowi, dostawały po kilka groszy na pierniki — jeden tylko Piotruś nie wybiegł na spot-

kanie dziedzica, nie łapał rzuca-
nych monet.

Grał i grał bez przerwy, za-
pominając o wszystkim i o pie-
niądze nie dbając.

Zaintrygowało to pana. Jakiś
dziwny chłopiec! — pomyślał
dziedzic i podszedł ku niemu za-
ciekawiony, tembardziej, że i gra
na fujarce była niezwykła.

— Kto cię grać nauczył? — spy-
tał łaskawie chłopca.

Odpowiedziało mu na to mil-
czenie.

— Kto ciebie grać nauczył? —
powtórzył dziedzic.

— A któżby? Sam, — odpowie-
dział płaczliwie, wypuszczając z
rąk fujarkę. Przeraziła go rozmo-
wa z tak wielkim panem.

— Skąd on? Czyj? — spytał dziedzic stojącej przy chłopcu kobiety.

— Niczyj, proszę łaski pana, — odpowiedziała wieśniaczka, — wzięłam go do pasania bydła, karmię go i odziewam. To głuptasek, proszę pana, niesamowity! Cały dzień gra i gra na swej fujarce!

— Oddajcie mi go, — rzekł dziedzic, — każę go uczyć! — A zwracając się do Piotrusia powiedział.

— Czy chcesz jechać ze mną, Piotrusiu? Będzie ci u mnie dobrze...

Piotruś nie pojmował, czego chcą od niego. Alboż mu nie dobrze?

Słońko świeci jasno, kwiaty kwitną, ptaki śpiewają... Niczego lepszego nie potrzebuje.

Wziął pan chłopca za rękę, podprowadził go do samochodu i wsiąść kazał. Jakżeż tam było pięknie!

Wysłuchał się Piotruś w sygnały samochodu i nie zauważył, jak przejechali kawał drogi i stanęli przed pięknym pałacem.

Na spotkanie dziedzica wyszli lokaje w eleganckiej liberji i wprowadzili do pokojów. Zdawało mu się, że to książęta tak sute były galony złociste na ubraniach. Onieśmieliło go to bardzo i milczał na zadawane mu pytania.

Kazał pan przebrać Piotrusia w nowe ładne ubranie. Włożono

mu buty lakierowane wysokie, pas piękny skórzany, przeistoczono go całkowicie.

Szukał chłopiec wzrokiem rzeczki szemrzającej, łąki kwiecistej i nie znalazł.

Drzewa i klomby były koło pałacu, ale jakieś dziwne i sztuczne. Nie takie jak w wiosce, o, nie takie! Daleko im do tamtych wierzb i brzózek, do topoli i róży polnej...

Więc tęsknił Piotruś do swej wsi, i lasu, do swego stadka i rzeczki szemrzającej.

Wodotryski na środku klombu nie podobały mu się wcale — nie było ich, jeśli ręka ludzka nie dopomogła, nie tak jak bijące z



815 WEST PKY.
BN
ARODOMA

ziemi źródelka, jak wciąż falująca rzeczka.

Grał, gdy mu kazano lub chciano słuchać, ale nie pochodziło to z radości życia, z zachwyty nad przyrodą — grał, gdyż mu było smutno.

Wkrótce i grać przestał. Przychodzili do niego, prosili, żeby zagrał — milczał i nie odpowiadał na zapytania.

Wreszcie jeść przestał, tęsknił za kawałkiem chleba razowego, za nędzną strawą, a tego, co mu dawali, nie ruszał.

Osłabł chłopak i położył się. Położył obok siebie fujarkę i płakał.

Przyszedł pan usiadł koło łóżka i postanowił go wybadać.

— Co ci to, Piotrusiu? — spytał —
co tobie?

— Smutno mi i tęskno, — przemówił chłopiec, — tak tęskno, że chyba umrę, Uciec nie mogę, bo furty zamknięte, ogrodzenia żelazne wokoło. W jaki sposób stąd wyjdę?

Zamknięty jestem, jak ptak w kładce złoconej, ani pola, ani łąk nie widzę.

Puście mnie do domu a odżyję na nowo i jak ptak wolny śpiewać znów będę.

Pomyślał nad tem pan i zawyrokował. — Ma rację, ptak w niewoli, chociażby w pozłacanej klatce, nie czuje się szczęśliwy i szczęśliwym nigdy nie będzie,

Trzeba chłopca obdarzyć i puścić na swobodę,

Kazał odwieźć Piotrusia do chaty w której ostatnio mieszkał, dał mu pieniędzy na drogę, mówiąc: — Dowidzenia, Piotrusiu, idź na swobodę, której tak pragniesz, a dobrze o mnie wspominaj..

Wrócił Piotruś do chaty, pasał znów krowy i owce, grał na fujarce i czuł się bardzo szczęśliwym.

Czasem tylko wspomnienie złoconej klatki smutkiem napełniało jego serce i grał wtedy tęskne pieśni, aż łzy w oczach stawały tym, którzy go słuchali. A i samemu grajkowi nieraz łzy z oczu padały, jak perły i toczyły się po wybladłych policzkach dziecka.

Powoli jednak Piotruś zaczął zapominać o wszystkim co go spotkało, poweselał i gdy kiedyś dziedzic zjechał znowu na wieś i wstąpił do chaty, gdzie mieszkał Piotruś, sam podszedł do pana i podziękował mu za to, iż chciał się nim zająć.

— A możebyś teraz pojechał ze mną? Oddałbym cię do szkoły, gdzieby cię douczono — jesteś samoukiem.

Długo myślał Piotruś nad odpowiedzią, jaką miał dać panu, wreszcie spytał: — A czy będą tam, dokądbym miał pojechać, takie piękne strumyki i rzeczki, takie lasy i takie zagaje?

Pan spojrział na Piotrusia, po-

głaskał go po jasnych włosach i odpowiedział:

— Dziwny chłopcze, nie dla ciebie duże miasto i kajdany obowiązków, urodzonyś do swobodnego śpiewu i grania, niech cię pouczają wichry wiejące, śpiewy ptasząt i szmery falującej wody.

I zostawił go na wsi, umieścił u wójta, któremu obiecał wynagrodzenie, aby chłopcu było dobrze.

Piotruś rzucił się do nóg zacnego człowieka, a ten go uniósł z ziemi i ucałował, jak syna.

Ciągnęły się więc znowu dla chłopca dni swobody i szczęścia.

O świcie prowadził owieczki i krówki w pole, a gdy się najadły

wiółł je do rzeczki, gdzie gasiły pragnienie.

Sam zaś siadał na pniu ściętego drzewa i wygrywał.

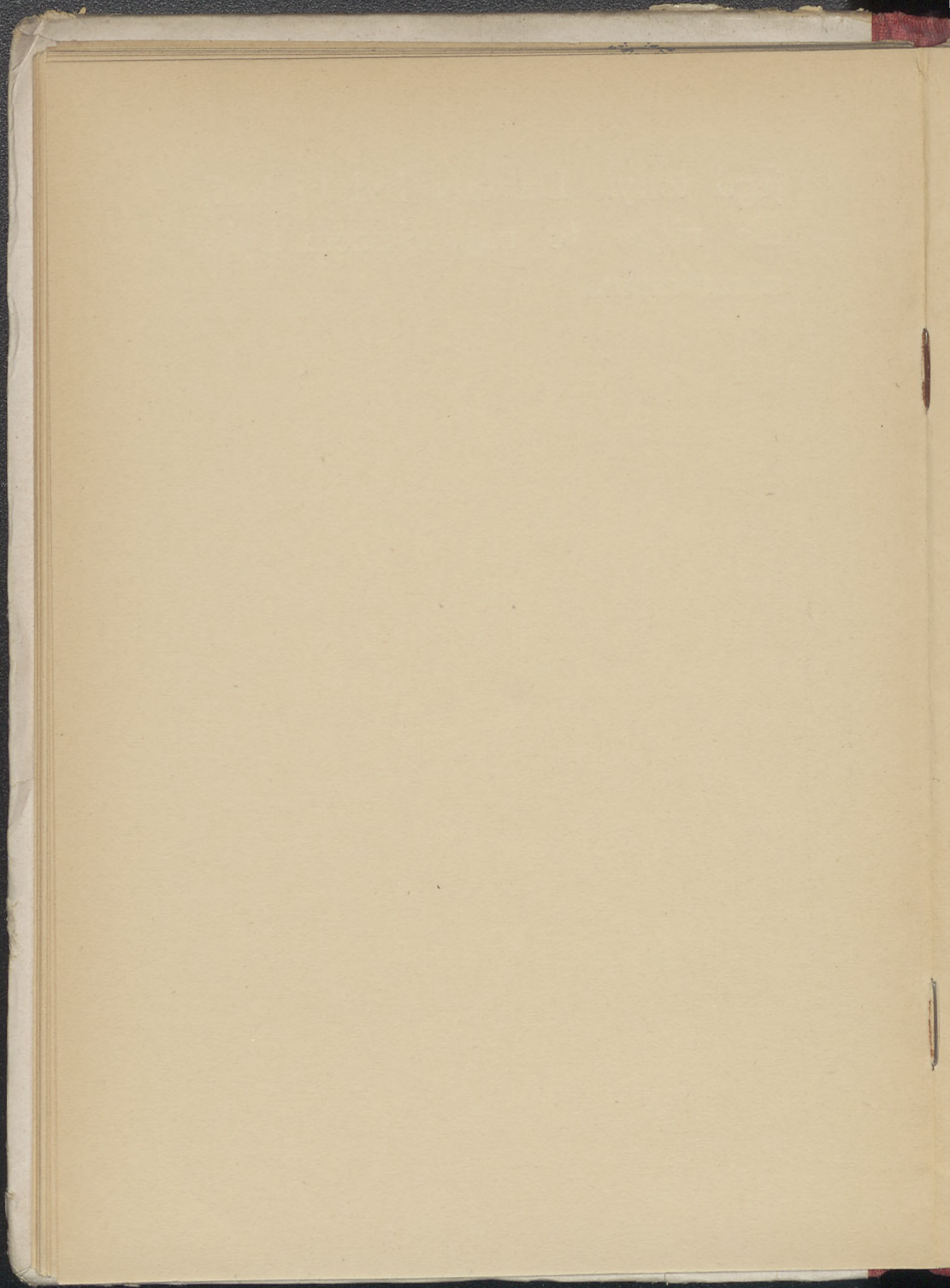
Dzieci schodziły się i słuchały i klaskały w rączki z uciechy.

Wkońcu ksiądz z kościoła do którego chodził Piotruś posłyszał grę jego mistrzowską i namówił, aby nauczył się grać na organach i na chwałę Bożą pracował,

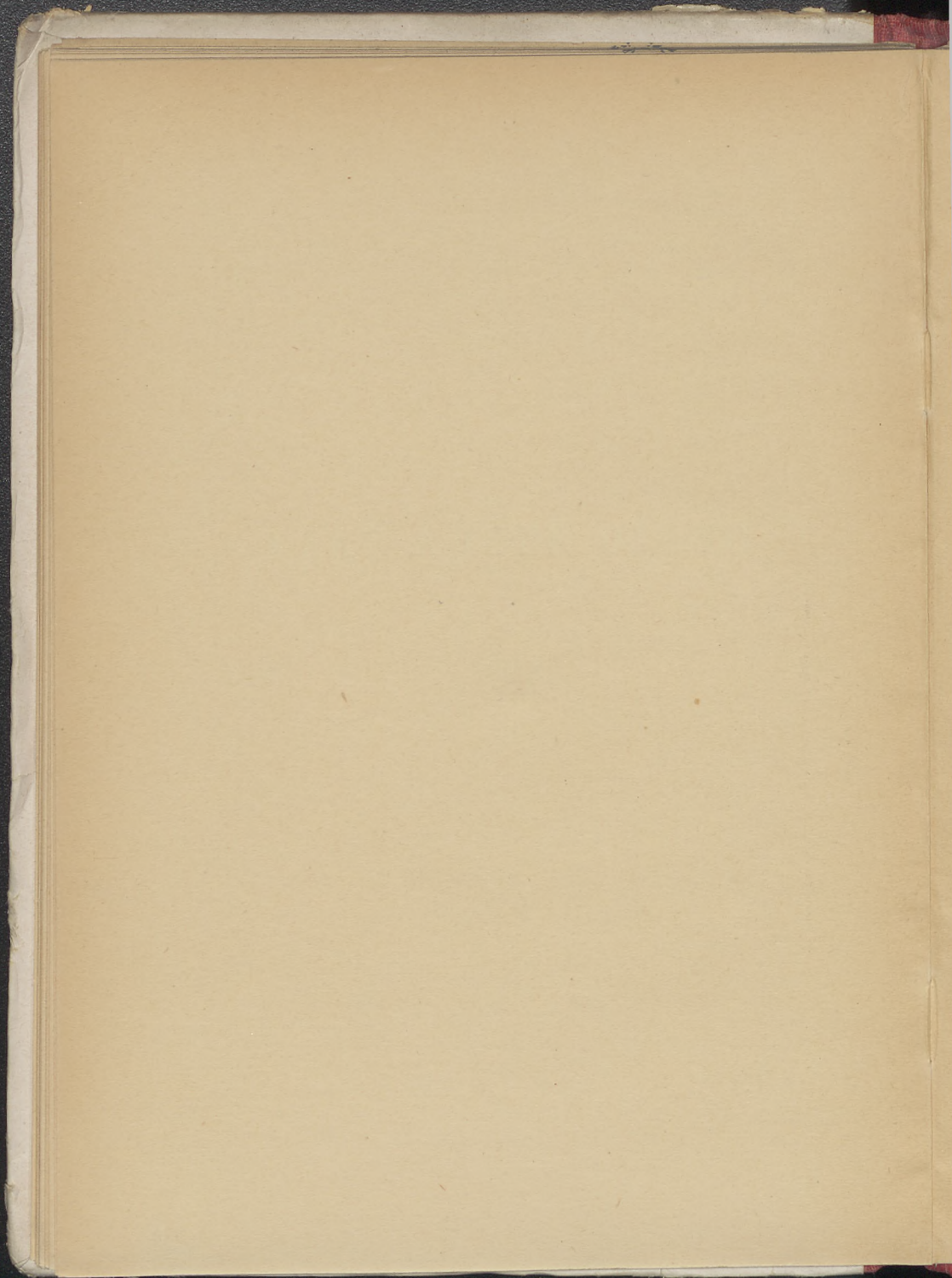
Porzucił chłopiec swe owieczki i krówki, wyuczył się grać i został organistą w swej wiosce

Ale jak tylko miał chwilę czasu, szedł daleko za lasy i pola i grał, grał bez przerwy na zielonej, z wierzby zrobionej fujarce, aż dziwiły się drzewa i kwiecie, a ptaszki próbowały naśladować

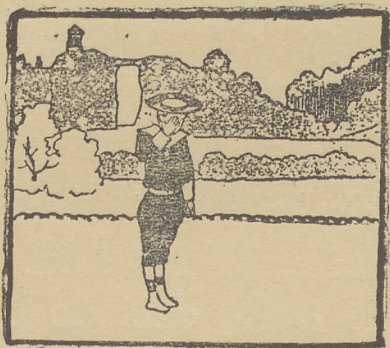
jego tony. Dziwny był Piotruś,
dla niego to największem było
szczęściem...



GENIO SZUKA TATY



Ach! czy wiecie, co się stało?
Posłuchajcie dzieci mnie...
Mały chłopczyk stał i płakał,
Krył twarzączkę w rączki dwie.
Na bulwarze gwar, zabawa,
Tańczą dzieci, muzyka gra,
A on cicho, gorzko płacze,
Smutek jakiś ciężki ma.

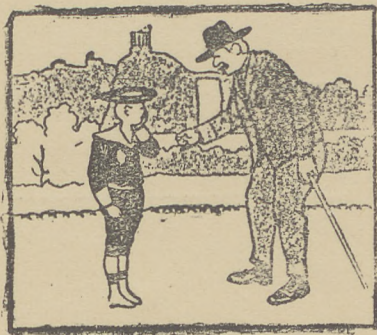


Czego płaczesz, mój chłopczyku?
Masz w serduszkku jakiś żal?
Powiedz wszystko, to pocieszę,
Pójdą twoje smutki w dal..
Tak odzywa się do chłopca
I przystaje jakiś pan:
— Zamiast płakać, mój maleńki,
Puść się lepiej z dziećmi w tan!



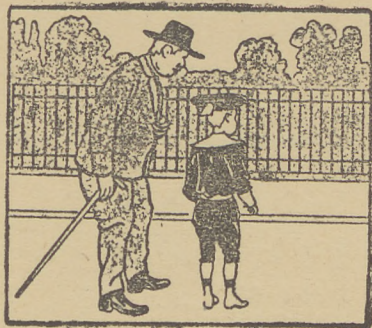
— Ach! zblądziłem, nie znam drogi
I tatusia znikł mi ślad!
Już nie trafię dziś do domu!...

I łzy lecą niby grad.
— Nie płacz dziecko, powiedz tylko,
Jak się twa ulica zwie?
Odprowadzę cię do domu,
Choćby było wiorst ze dwie...



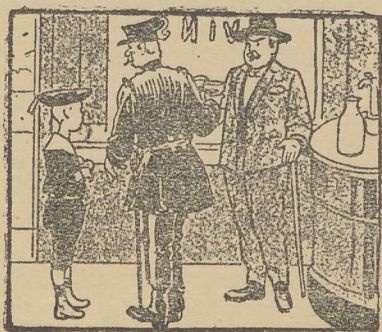
— Zapomniałem, — mówi chłopiec
I przypomnieć trudno mi..
— A więc, jak się zwie twój tata?
To ułatwię wszystko ci!
— Tata tatą się nazywał
Jak inaczej zwać się ma?

— Ach! głuptasku! Lecz nazwisko?
Powiedz! Zginie troska twa!..



— Piotr, ma imię, a nazwisko?
Zwą tatusia panem Grot!
— Świetnie! świetnie! Teraz staniem,
Już napewno u twych wrot!..
Ale powiedz jeszcze mały,
Jaki fach twój tata ma?
I co robi? czem zajęty?
Przy warsztacie jakim trwa?

— Tego to już niewiem wcale,
Czem się trudni tata mój,
To wiem tylko, iż raz w rękę
Trzymał nóż, jak jaki zbój!
— Dobrze synku, wiem już teraz,
Że z kiełbasą handel ma!
Jest rzeźnikiem, — odszukamy,
Gdzie rodzina mieszka twa?



Weszli zaraz do kawiarni,
Spis adresów wzięli w lot,
I znaleźli wnet rzeźnika,

Co nazwisko miał: Piotr Grot.
A więc idą, weszli w progi..
Patrzą stoi gruby pan.
— Witaj tate! — oto stoi..
Wszak rzeźniczy jego stan!



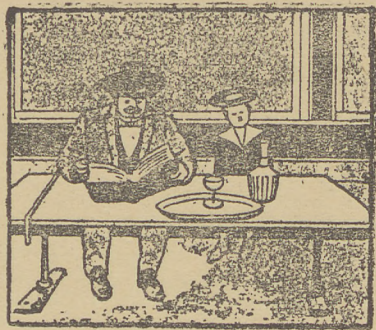
— To nie tata! Tata szczupły
I kamaszki zawsze ma!..
— Do kawiarni więc wracajmy,
Niech się skończy troska twa!
Siedzą znowu i szukają.
Aha! mam już! Piotr i Grot;

Składy drzewa on posiada
A więc idźmy, w lewo zwrot!



Już są w drwalni. Przed nim staje
Człowiek stary, blada twarz...
— Witaj tatę! Ma kamaszki,
Już tatusia swego masz!
— Jaki tatuś? Mój jest młody!
Twarz rumiana, oczy cud!
I w fartuchu czasem chodzi,
By nie osiadł na nim brud!

A więc wróćmy do kawiarni
I w adresy spójrzmy wnet..



O! dozorca jest tej nazwy,
Mieszka w prawo, ot tam het!
— Czy pan tutaj jest dozorcą?
O, tak! służę piąty rok..
— Witaj tate! wszak w fartuchu,
Jest od ciebie już o krok!

— To nie tatuś! Mój bogaty
I wesoły i śpiew zna,

A ten blady, jakiś smutny,
I na nogach łapcie ma!

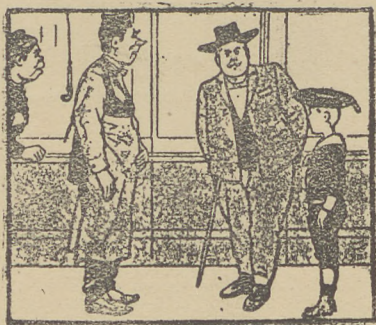


Trudno mi już zgadnąć chłopcze,
Jaki ojciec twój ma fach?



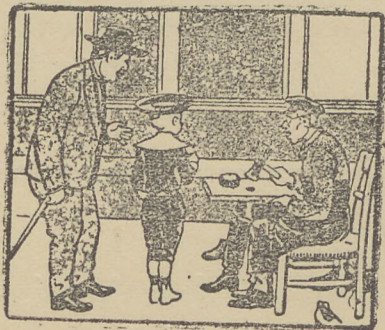
Chodźmy przeto do kawiarni,
W książce nazwisk, że aż strach!

— Śpiewać lubią wszyscy szewcy
I na szyldzie mają but,
Pędźmy przeto, miły Geniu,



Zróbmy w lewo szybki rzut!
O twój tata! Idź, powitaj!
— Jaki tata? Ależ nie!
Mój miał lustro, brzytwę, mydło
I rączników pary dwie?

A więc chodźmy do kawiarni:
Przeszukamy księgę w lot!
Zaprowadzę cię do domu,
Tam, gdzie mieszka: pan Piotr Grot.
Weszli — znalazł adres krawca.
— To napewno tata twój!
Wnet pobiegniem do warsztatu,
Tam utopisz smutek swój!



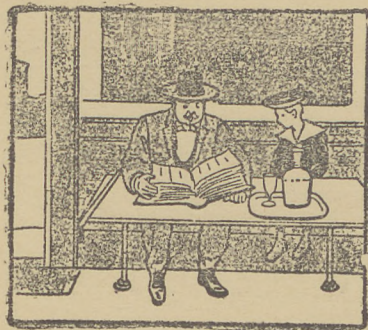
Duży stół, a za nim stoi,
Kraje sukno, kroi frak!
Krawiec stary w okularach...

Genio cofa się wnet wspak...
— To nie tata! Mój miał zawsze
Hełm, ordery, szable, miecz,
Ach! To pewnie szył kostjумы,
Teraz, chłopcze, już nie przecz!



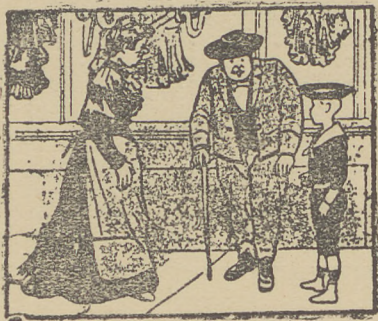
Idą znowu do kawiarni,
By wyszukać, gdzie jest Grot,
Co kostjумы do teatrów,
Dla artystów szyje w lot!
Każe dać już lemoniady
I przegląda nazwisk sto,

Już znalazłem! Jakie szczęście!
Wnet osłodziś dolę swą...



Ot i masz już twego tatę,
Bez zarostu, fartuch ma,
Witaj tatę! Ach! przepraszam,
Jeszcze smutna dola twa.
Toć to dama, a nie tatuś,
Trzeba szukać jego znów,
A więc idźmy do kawiarni
I, gdy poznasz, zaraz mów,

O, już teraz wiem, gdzie mieszka,
Tam, o jeden tylko krok.
Więc pośpieszmy, bo się ściemnia,
Wkrótce będzie przykry zmrok.



— Czy to pani właścicielką
Tego domku? Pani sad?
— Mój ten domek... Czy i Grota?
Wiedzieć będę wielce rad?..

Mieszkał tutaj Grot i inni,
Ale teraz mieszkam ja!

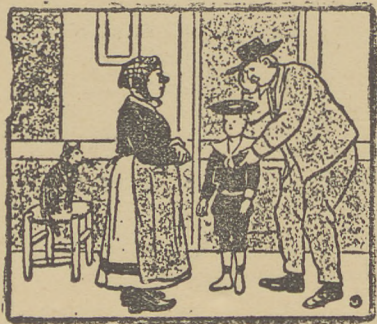
Tak jest zawsze: Dziś coś twego,
A nazajutrz inny ma.



Nos czerwony miał mój tata
I pocieszna taka twarz!
Przypomniałem sobie teraz...
— Spytam zaraz gdzie Grot nasz...

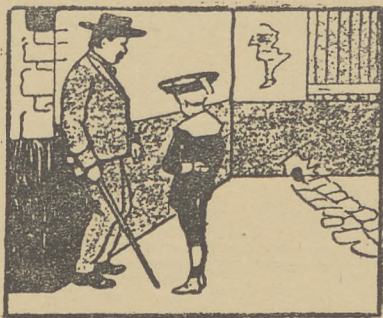
Czy pan nie zna Piotra Grota?
Ot szukamy, niema go.
— Grotów wielu, Piotrów także,
Jest w miasteczku ich ze sto.

At! niemądry! głupstwa pleciel
Do kawiarni chodźmy znów,
I wszyściutko o swym tacie,
Opowiadaj, wszystko mów!

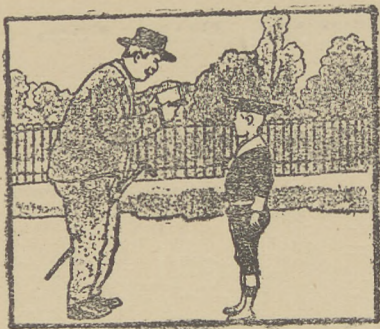


Jak wygląda, powiem panu;
Miał on jasny, czarny włos,
Był raz łysy, to znów w lokach,
Miał i gruby, cienki głos...
Wygolony, to wąsaty,
Raz w surducie, to znów frak!

I w orderach, wstęgach cały
I w czerwieni, niby rak.



Co ty pleciesz? Jakieś bzdury!
Jak w gorączce mały trwasz!
Już nie będę słuchał ciebie,
Gdyż napewno bzika masz!
Ot znalazłem! Jest gdzieś stolarz,
I nazwisko takie ma.
Ale spojrzysz! Ktoś tu biegnie,
Już się skończy troska twa,



Ach! to przecie mój tatusiek!
Geniu drogi! Mam cię znów!
Pójdź w objęcia, o mój miły!
Co się stało, zaraz mów!
Panie, dzięki ci stokrotnie!



I mą wdzięczność z serca bierz!
Uratował mi pan syna,
Nie zapomnę! Panie wierz!...

To drobnostka! Ot chłopczyka,
Bardzo wielki był mi żal!
Lecz mi powiedz, drogi panie,
Zanim ruszyc stąd gdzieś w dal,
Kim pan jesteś? czem zajęty?
Jaki pana główny fach?
Bo twój synek plótl różności,
Tak niemądre, że aż strach!



Mówi, iż pan miewa: czasem
Rudy, jasny, czarny włos,
Raz jest młody, to znów stary,
Ma czerwony duży nos,
Że ubiera się pan różnie,
To jak żebrak, to jak pan,
Czasem jest pan generałem,
To znów nędzny pana stan!

Drogi panie, mój syn mówił
Tylko prawdę, fałszu nic!
Byłem hrabią lub lokajem,
Młodym, starym, różnych lic!
A i królem byłem także,
Błaznem, czasem też i zbój,
To szlachetnym, to złodziejem,
Bom aktorem! to fach mój!



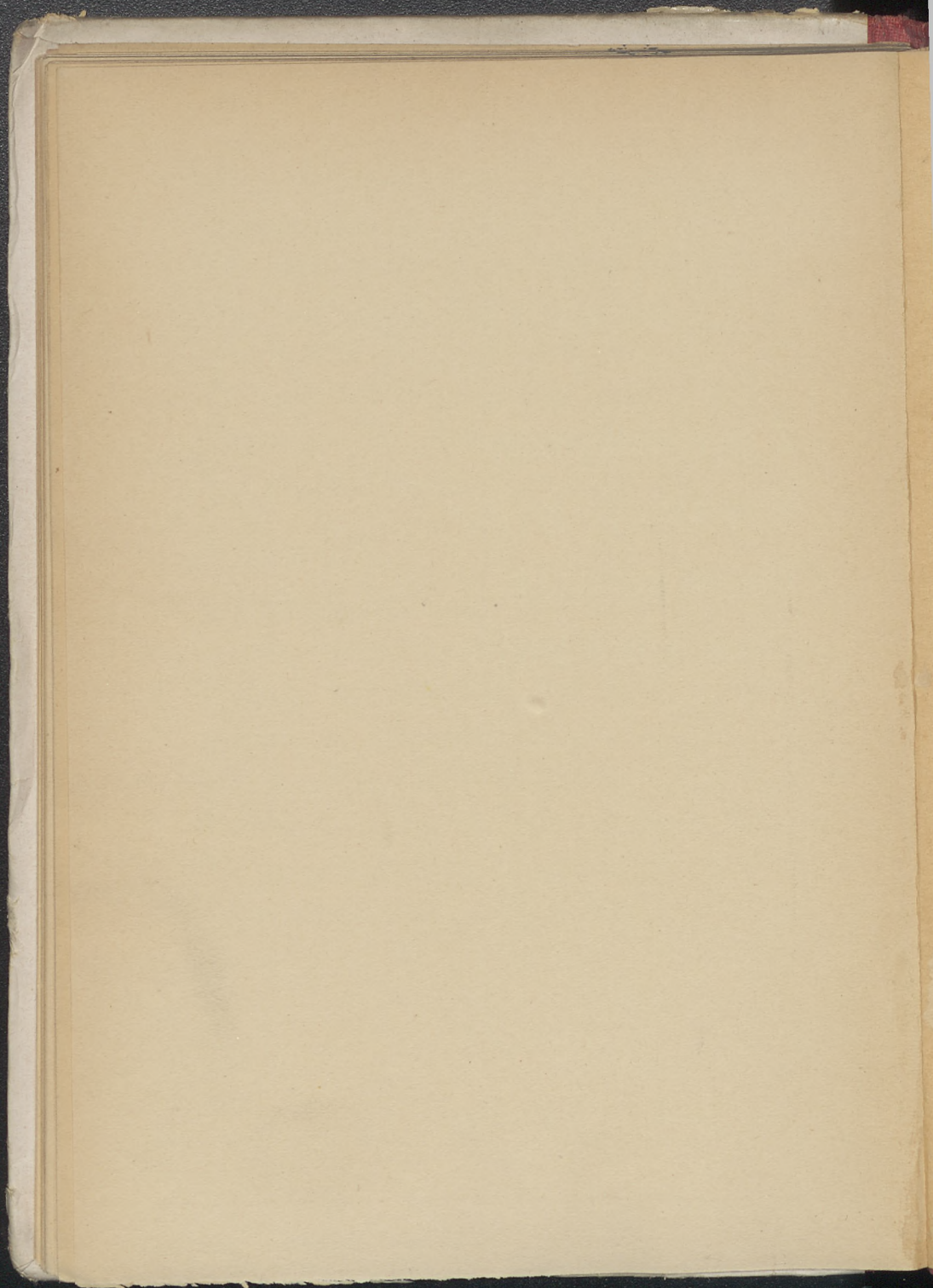
SPIS RZECZY:

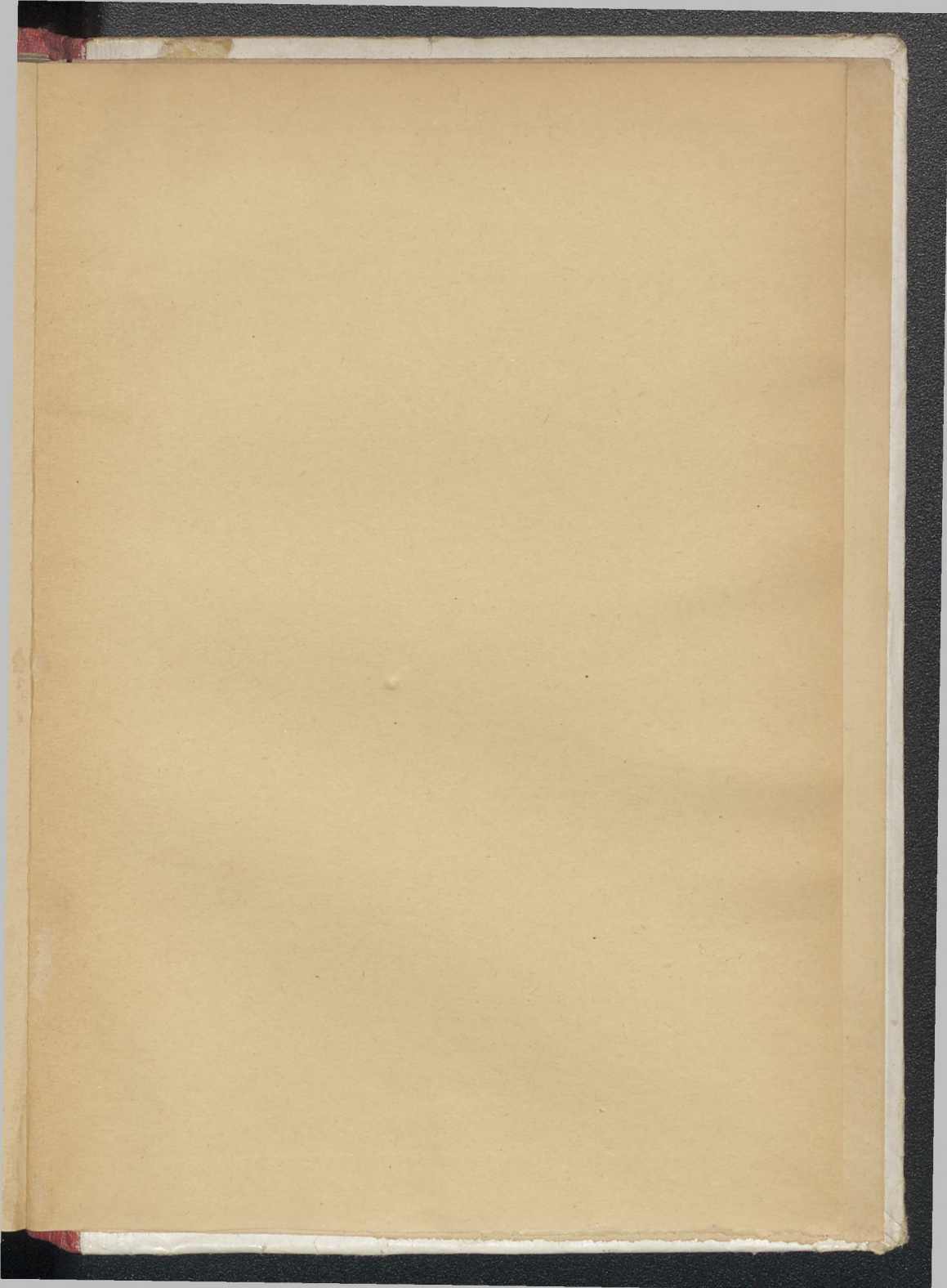
Z pamiętnika Lalki

Wyprawa po grzyby

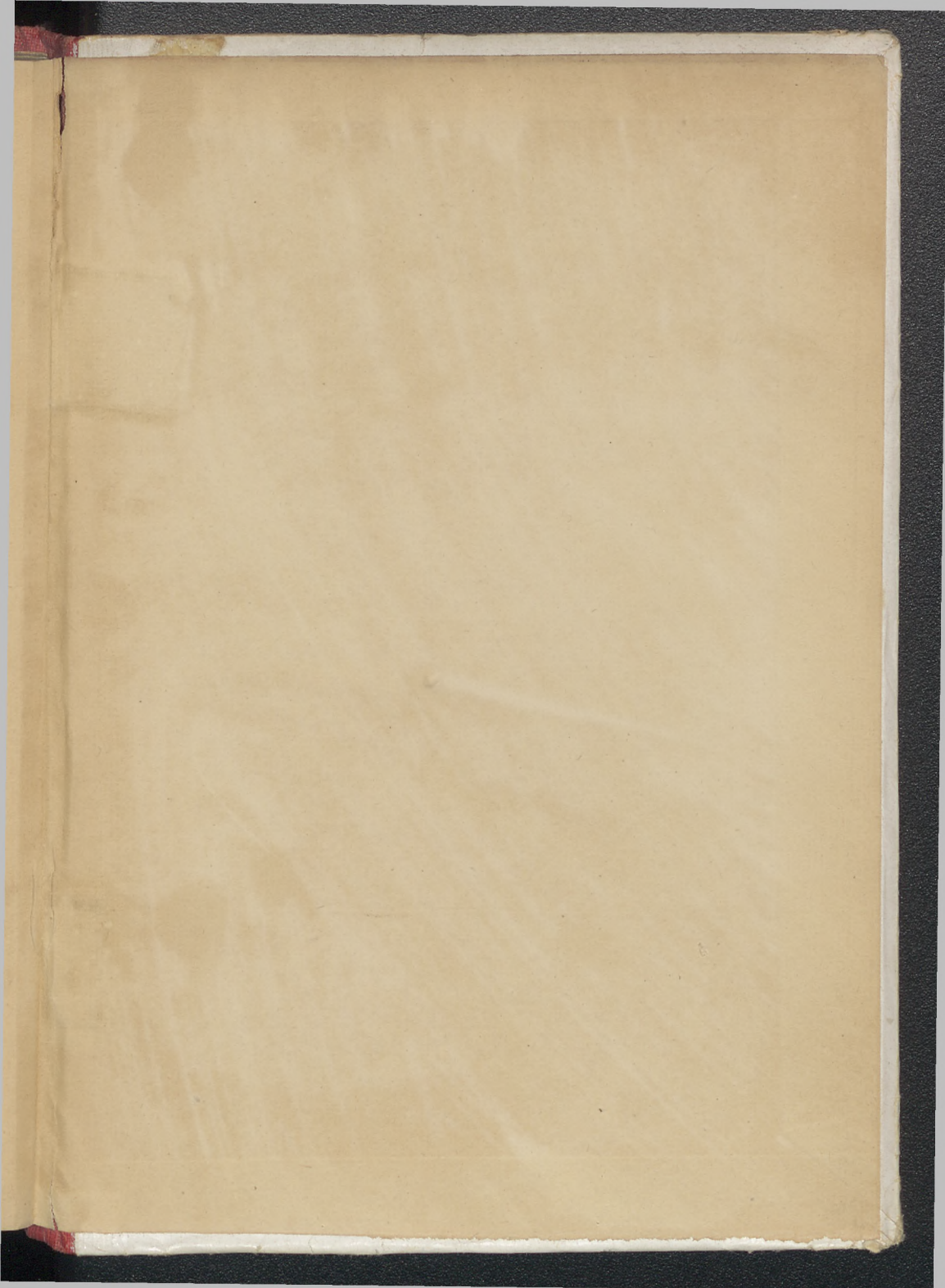
Piotruś pastuszek

Gienio szuka taty.





4085/38





602049

-4. V. 1938

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018259801